

Krzyczę te słowa w myślach. W pęd. W pędzie. Rozrzucam je, ciskam w nicość, niebyt, niczym oszalały rolnik, co sieje ziarno do wnętrza wulkanu.

Wiem, że absolutnie nikt ich nie zrozumie, nie schwyci, nie odczyta, nie pochyli się, nie postara się pojąć, żaden człowiek...

Choroba jasna, co ja bredzę — przecież nie ma już ludzi. A przynajmniej Ziemi.

Jeszcze nie do końca dotarło, że właśnie byłem świadkiem trwającej ledwie kilka (szalonych i armagedonicznych) minut zagłady rodzaju ludzkiego, cywilizacji, więcej: całej planety.

Drze, wyje, rozszarpuje mnie lot, przestrzeń, przestrzał, duszne pustkowia, potworna i absolutnie nieczłowiecka czerń, próżniaaaaa...

Nie drę się "ratunku" gdyż wiem, że to moje ostatnie... Kto, u licha, mógłby wybawić z arcychujowego położenia, uratować przed niechybną śmiercią, uduszeniem się, rozpadnięciem...?

Nikt, a nawet mniej, niż nikt. Nie ma takiego boga, który byłby w stanie przyjść z pomocą zmieniającemu się w lodową bryłę "jeszcze-chyba-człowiekowi"...

trzymam się, dosłownie, kurczowo, choć zdaję sobie sprawę, że nie ma po co, to z góry przegrana gra, niepotrzebnie próbowałem się ratować, głupi, atawistyczny instynkt przetrwania kazał mi zachować się irracjonalnie, podjąć choć próbę ocalenia się, ucieczki przed niszczycielską siłą... wąsów.

I zrobiłem to, w zasadzie bezmyślnie, nie zastanawiając się (niby kiedy miałem mieć czas na jakiegokolwiek przemyślenia?) ani sekundy przywarłem do giry najgorszego z wrogów, śmiertelnego nieprzyjaciela całego znanego mi świata — i uleciałem z nim. A raczej dałem się porwać. Pędowi, antygravitacji. Susowi. Razem z panem kończyświatem skoczyłem w ciemność. W bezludzie.

I lecę, dusząc się, spadam chyba na samo dno przestrzeni kosmicznej...

Nie słyszycie tego co wrzeszczę, gardłuję myślowo, wyjękuję wewnątrz głowy... mam, tato, Przemeeek... Karolina, Patryk... Nawet, gdybyście posiadli zdolność telepatii — z oczywistej przyczyny nie byłibyście w stanie odczytać tych chaotycznych myśli... Umarliście, szlag waz trafił razem z całą planetą... Jezu żesz mać...

Kto wiedział, któż u diabła mógłby przypuszczać, że za waszego życia nastąpi nasza... nastąpi wszechśmierć, będzie miało miejsce... totalne zniszczenie, hiper-kurwa-destrukcja, przy której barbarzyństwa II Wojny Światowej zdają się tragedijką kilkuletniego dziecka, któremu rozpruł się miś... pluszowy... pod pachą...

I że zrobi to, skurczysyn, wąsami! Do tego — gdzie?! W samym centrum pocziwego Rejewa, na przytulnym, swojskim, cieszącym oko Placu Wolności, w otoczeniu pięknie odremontowanych kamieniczek z XIX wieku... wśród nas, zwykłych, kuźwa, ludzi, szarych zjadaczy chleba z pasztetową, że nie w Białym Domu, czy na Kremlu się objawi, sprzątaczu pieprzony, że bez trąb, jeźdźców apokalipsy, ognia, plag, dżum, trądów będzie... że, kurde, wąsami...

Stałem jakby nigdy nic w tłumie, kebsa se żarłem, z głośników leciała muzyczka, chyba Sannah, czy inna młodsza ode mnie niunia, coś tam piała, gówniara, oczywiście nie na żywo... Jezu — w ogóle jej tam nie było, leciał, był odtwarzany utwór... rozbiegówka, przedwystęp...

Na scenie — ludzie-tło, nastolatki z żółtymi balonikami, proporczykami, flagami, flażkami, już-już zbierała się główna wykonawczyni, gotowała, by wyjść i zacząć zabawiać zgromadzonych swym pieniem, sama Gosia Andrzejewicz miała wystąpić... aż tu nagle na sam środek sceny wbija siwawy i zarośnięty jak nieboskie stworzenie chłop w roboczym ubraniu, w drelichach z kieszeniami, łapie za statyw, przyciąga do siebie i zaczyna perorę.

Oho — myślę — wariat, może będzie to samo co w Gdańsku ze świętej pamięci prezydentem Adamowiczem, tylko patrzeć jak zaatakuje, walnie kogoś nożem, albo wyciągnie broń...

Zanim zorientowali się i choćby spróbowali do niego podlecieć ochroniarze — zaczął... trzepać. Wąsiska miał... ciągle ma — sarmackie, szlacheckie, sumiaste, nad wyraz dorodne, do tego poźółkłe od papierochów jak u Szymona Kobylińskiego.

Mówi donośnie, że wypełniły się dni i przychodzi wam teraz zginąć, latem, poezję cytuje, skubaniutki, i zaczyna ruszać górną wargą. Krzyczy coraz głośniejsze, że jest jedynym wykonawcą wyroku apokalipsy, tak, dokładnie, mało gramatycznie powiedział, że czas Ziemi, ludzkości, cywilizacji, czas drzew, kotów, rozwiłtek, samochodów i w ogóle wszystkiego co znamy, definitywnie dobiegł końca i... żegnajcie, śmiertelnicy.

Nikt nie zdążył się dobrze zaśmiać z typowej paplaniny urojeniwca — bo takie jego monolożysko sprawiło wrażenie — jak przekonaliśmy się, że to nie wymyśli chorej głowy.

Schylił się pan dewastator planety, cyngiel-wykonawca wyroku na całym globie — i zaczął łomotać. Młócił jak oszalały wąsiskami, jak żelaznym cepem, aż drzazgi zaczęły furkotać, deski sceny migusiem poszły w driebieżgi.

Coraz szybciej, wykrzykując gorączkowe pożegnania, łomotał. W przeciagu góra minuty rozłukł całą scenę, dwóch cherlawych ochroniarzy o łącie nieochroniarskich sylwetkach.

Im szybciej bił w ziemię, tym większe i groźniejsze, bardziej niszczycielskie stawały się jego wąsy.

Ludzka breja zafurkotała w powietrzu, rozerwane ręce, nogi, głowy, strzępki korpusów wzbily się pod niebo.

Gszaf! Gszaf! — bił wacholami śmierci, bezlitosny konieczwiaciarz. Ledwie zdążył go dopaść, schwycić za lewą nogę, spróbować powstrzymać — jak zobaczyłem, że już po ptokach, za późno na wszystko, nie ma czego bronić.

Najpierw poczułem jak ziemia polska, europejska, ojczysta pęka mi pod stopami, potem — nie bez zgromy dostrzegłem walące się wokoło kamienice, pomniejsze budyneczki, wzbite w górę cegły, betonowe kręgi z wyrwanych studni, wprawione w ruch rury kanalizacyjne, karoserie aut, wreszcie: całe kwartały, osiedla zmuszone do lotu.

Potworne, ziejące czeluści otworzyły się pod nami, tłuczony, chłostany świat poddawał się pod gradem ciosów.

Skuliłem się, co by nie zostać obryzganym lawą, przywarłem do giry łobuza, który mi matkę Ziemię, bez dania racji, dosyć drastycznie zamordował.

Nie śmiałem się ruszyć, zresztą — nie ma chyba w realnym świecie takiego kozaka, herosa, Jamesa Bondy, który, gdy trwa w najlepsze pandemonium, byłby w stanie walczyć.

Jak, ludzie święci, bronić kraju, kontynentu, Błękitną Planetę ocalać, jak ci nagle, zasłaniając przez moment całe niebo, nad głową przelatuje Afryka?

Ogłuchłem, chyba definitywnie — taki był łomot wąsisk, tak ryczały rozbryzgiwane oceany, łamane niczym zapalki wulkany, taki szedł syk od hektolitrów płynnych skał gaszonych w powietrzu.

Wieżowce jęczały zderzając się z Pirenejami, Appalachami, skorupa ziemska zmieniona pod wpływem ciosów w cieką skorupkę jajka, kruszyła się.

Zmrużyłem oczy, by nie patrzeć na dziesiątki, potem — setki zachłostywanych na śmierć, Bogu ducha winnych ludzi.

Kto mógł — krył się, uciekał, desperacko starał się ocalić. I kończył życie, raz a dobrze smagnięty żółtymi od tytoniu batożyskami.

Gdy zorientowałem się, że nie ma już Ziemi, gdy pękła moja kochana planeta... matka... trzasnęła jak słabej jakości kondom... gdy tylko dotarło do mnie, że dryfuję razem z ziemiobójcą w przestrzeni kosmicznej... na ile miałem sił — wcisnąłem mu nos i usta do jednej z kieszeni. Tam ostało się troszeńkę powietrza... starczy na parę płytkich wdechów... Kosmos to naprawdę duszne i zimne miejsce... niedługo pewnie uduszę się, zamarnę i odpadnę od ciała... od nogi potwora, co ma wygląd średnio rozgarniętego ciecica...

Na razie — lecimy. Gdzie? Pewnie dalej apokalipsić, psuć, rozmlócać inne planety, sprowadzać katastrofy na kolejne Ziemie...

Tlen, tlen się kończy... a miała wystąpić Gosia Andrzejewicz... kebab mi stanął w gardle, prawie się zakrztusiłem piwem.... Nie mogę uwierzyć, że to się faktycznie odpier... Gosia...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Florian Konrad, dodano 01.03.2022 16:22

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).